

Dokładałem drewna do kominka, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Cholera, że też teraz zebrało się komuś na odwiedzin. Skoczyłem na równe nogi i spojrzałem na trupa w kącie pokoju. Krew ściekała z otwartej rany na potylicy i skroni, zdobiąc dywan paskudnie dużym skrzepem. Słowo daję, to był wypadek. Wiem, każdy tak mówi; zdradzone żony, gdy dowiedzą się o drugim życiu swoich mężów, faceci, których agresja poniosła trochę za daleko, piraci drogowi, nawet gwałciciele, gdy zanoszą się płaczem i zrzucają winę na nadmierną energię między nogami. Wszyscy. Ale w moim przypadku tak właśnie było. Ponieważ nie jestem rogaczem i nie zdradzam żony, przecież nawet jej nie mam, nie narzekam na napady złości, jeżdżę ostrożnie, czasem może za wolno, ale pośpiech to zły doradca i nigdy nie polegałem na jego doświadczeniu. Nie jestem też gwałcicielem ani zboczeńcem. A mimo to zabiłem. Jestem tego absolutnie świadom. Widzę zwłoki w moim własnym domu, martwe oczy wpatrzone oskarżycielsko w punkt, gdzie stałem jakieś kilka minut temu, próbując się wytłumaczyć. Potem wszystko potoczyło się za szybko. Nie miałem najmniejszych szans, machina śmierci rozpędziła się na dobre, a ja nie miałem pod ręką zwrotnicy, by skierować ją na inny tor.

Pospiesznie złapałem umarlaka i zacząłem wlec go po podłodze. Krwawiąca głowa zostawiała okropne ślady na dywanie, ale gość był zbyt ciężki, by go podnieść. Dywan mogę spalić i kupić nowy, jak już robiłem wcześniej. Z tym nie będzie problemu, spokojna rozczochrana. Odchyliłem foliową zasłonkę prowadzącą do mniejszego pokoju i zapaliłem światło. Jarzeniowe lampy zaskakiwały jedna po drugiej, wypełniając pomieszczenie jaskrawym blaskiem.

W środku leżały inne ciała. Niektóre, całkiem rozłożone, straszyły kościstymi szczękami i pustymi oczodołami, reszta była świeża, dopiero zaczynała nabierać zielonych kolorków. Całe szczęście, że temperatura nie była wysoka, inaczej ciężko byłoby tu wejść bez maski gazowej. Nie miałem pojęcia, skąd wzięły się wszystkie truchła, a jeśli wiedziałem, to na pewno był wypadek. Innej opcji nie ma. Naprawdę. Ułożyłem trupa obok reszty ciał, wytarłem zakrwawione ręce w spodnie, niepotrzebnie zakładałem jasne, i zgasilem lampy. Uciekłem czym prędzej do salonu, w schowku zaczął rozchodzić się nieprzyjemny zapach. No dobra, smród. Muszę coś z tym zrobić, inaczej niebawem odór rozniesie się po całym domu, temperatura nie załatwi sprawy. Usiadłem na fotelu i na moment pogrzeżyłem się w zadumie.

Ponownie obudził mnie dźwięk dzwonka. Przestałem dywagować i podeszedłem do drzwi. Uchyliłem je i wyjrzałem ostrożnie. Po drugiej stronie stało dwóch policjantów. Byli wysocy, dobrze zbudowani i mieli bardzo groźne miny. Zupełnie inni niż przedstawiciele prawa, do których przyzwyczaiła nas rzeczywistość. Sądzę, że gdyby musieli, to z łatwością mogliby wyważyć drzwi i obezwładnić mnie w sekundę. Ich spojrzenia były czujne i przygotowane na każdą ewentualność, wielkie dłonie czekały tylko na najmniejszy błąd z mojej strony. Chyba zbladłem, bo przez kamienne twarze przebiegł króciutki grymas zadowolenia, dosłownie przez chwilę, ale wprawne oko potrafi dostrzegać takie szczegóły.

- Nie masz dokąd uciec – powiedział jeden z nich. – Poddaj się, a zapewnimy ci sprawiedliwy proces.

- Chyba że chcesz odstawiać kowboja – rzucił krótko drugi – wtedy porozmawiamy inaczej.

Teraz przynajmniej wiedziałem, który z nich to dobry, a który zły glina. Stałem jak sparaliżowany przez dłuższą chwilę, podczas gdy stróże prawa cierpliwie czekali z rękami przy kaburach pistoletów. Nie miałem dokąd uciec, to prawda. Jeśli w ogóle spróbuję, zabiją mnie, to druga prawda. Nie do końca wierzyłem w sprawiedliwy proces, ale nie widziałem innego wyjścia. Musiałem się poddać. Przerazenie do tego stopnia odebrało mi zdolność myślenia, że poza głupim wpatrywaniem się w policjantów nie zrobiłem niczego. W końcu jeden z nich stracił ochotę na zabawę i potężnym kopniakiem wyrwał drzwi z zawiasów. Klamka boleśnie wbiła mi się w zębra, siła uderzenia spowodowała, że runąłem bezwładnie jak lalka. Wyrzuciłem głowę o podłogę i przez kilka chwil leżałem zamroczony na brudnej wykładzinie. W tym czasie brygada obróciła mnie na brzuch i zakuła w kajdanki, boleśnie wykręcając mi ręce. Chyba

stęknąłem, ale nie pamiętam tego dokładnie. Później zorientowałem się, że ekipa przed drzwiami była większa, tylko chowała się za ścianą. Po policjantach do środka weszło jeszcze kilka osób. Od razu skierowali się do małego pomieszczenia, w którym zostawiłem wszystkie ciała. Przypominam, nie mam pojęcia, jak się tam znalazły. Długo szukali włącznika światła. Specjalnie umieściłem go ponad głową i jeszcze po prawej stronie. Macali futrynę przez jakiś czas, a gdy jarzeniówki zapłonęły, wszyscy wydali z siebie odgłosy obrzydzenia.

- Uch... och... fuj... – powtarzał młody doktorek w białym fartuchu. – To potworne! Niech ekipa zbierze ciała po oględzinach, zabieram je do prosektorium – rozkazał, po czym wyszedł, klnąc pod nosem. Rzucił niedopałek papierosa na podłogę, parę centymetrów od mojego nosa.

Technicy otworzyli walizki i przystąpili do pracy. Zebrali odciski palców, pobrali próbki dziwnych substancji, porozstawiali tabliczki z numerami i wszystko pieczołowicie sfotografowali. Przez cały ten czas leżałem na brzuchu, obserwując cały ten cyrk. Jeden z policjantów stał przy mnie i co chwila rzucał garść przekleństw w moim kierunku. Nie będę ich powtarzał, bo szkoda papieru na takie obelgi. Poza tym byłem niewinny, jak już mówiłem. To wszystko wypadek; wypadki.

Po ponad godzinnym czekaniu któryś z funkcjonariuszy brutalnie podniósł mnie z ziemi. Zrobił to tak szybko, że zakręciło mi się w głowie i miałem ochotę zemdleć. Zaraz jednak oberwałem po twarzy i wróciłem do siebie.

- Idziemy – warknął policjant i pchnął mnie do przodu. Wyleciałem przez drzwi i upadłem na zimnym korytarzu. Chyba złamałem nos, ale nikogo to nie obchodziło.

Wszyscy sąsiedzi powychodzili z mieszkań i obserwowali, jak skutny i znieważony schodzę mrocznym korytarzem wśród asysty gliniarzy. Co delikatniejsi zasłaniali nosy, inni patrzyli na mnie jak na świra, reszta w milczeniu mierzyła mnie ze zwyczajną ludzką ciekawością, czekając na wyjaśnienia. Nie mam zamiaru powiedzieć nawet słowa. Tylko winni się tłumaczą.

Noc w areszcie okazała się katuszą. Zimno wdierało się przez nieszczelne okno, a jako że był styczeń, mróz napierał z całych sił. Leżałem na śmierdzącej pryczy, mając do dyspozycji cienki i sięgający mi za kostki koc. Z małego kibelka unosił się potworny smród ekskrementów, spluczka zepsuła się tydzień temu i nikt nie pofatygował się, by sprzątnąć chociaż to, co nie chciało iść do odpływu. Cela była nieznosnie mała w porównaniu z moim trzypokojowym mieszkaniem. Po podłodze chodziły szczury i cała masa przedziwnego robactwa, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Niektóre z nich próbowały wejść na łóżko, więc przez całą noc nie zmrzyłem oka, walcząc z tą plagą. Drugi dzień nie przyniósł nic nowego poza małą porcją jedzenia, które zjadłem tylko dlatego, że byłem strasznie głodny. Zamknąłem oczy i przelknąłem tę przedziwną papkę, tłumacząc sobie, że to nie jest zmiksowane robactwo, które w nocy nie dawało mi spać. Bo przecież nie było, prawda?

Jakąś godzinę po śniadaniu odwiedził mnie mój obrońca, pierwsza osoba w tych obskurnych ścianach poza mną.

- Jest ciężko – powiedział, nawet się nie witając – ale jest szansa, że uda się nam uzyskać dożywocie zamiast krzesła elektrycznego. Może zrzucimy całą odpowiedzialność na karb załamania nerwowego. Leczyłeś się psychiatrycznie? – zapytał.

- Nie – odparłem.

- Cholera, szkoda – podsumował – ale coś załatwimy. Znam jednego psychiatrę, zrobi fałszywą dokumentację. Wymyśli jakąś głęboką depresję czy coś innego. Jest dobry w tych sprawach. Dwa dni i Ted Bundy będzie przy tobie jak Kubuś Puchatek. Posiedzisz tu jeszcze dwa dni, patolog nadal bada ciała. Dałeś mu ostre nadgodziny – stwierdził, po czym zaśmiał się, jakbym powiedział naprawdę dobry żart. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Nigdy więcej się pojawił. Szlag trafił też moje zmyślane problemy psychiczne. Nie miałem mu tego za złe. Przecież byłem niewinny, mogłem bronić się sam. I tak też zrobiłem.

Proces trwał krótko, zaryzykuję stwierdzenie, że była to najkrótsza sprawa w historii tamtejszego sądow-

nictwa. Prokurator już siedział na swoim miejscu, gdy ja gramoliłem się na twardym krześle po drugiej stronie. Był młodym człowiekiem w modnym garniturze o gładko zaczesanych czarnych włosach. Mierzył mnie bystrym wzrokiem. Oczy miał całe czarne, co wydawało mi się trochę nienaturalne, ale wolałem trzymać język za zębami. Był przerażający i nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Gdy sąd wchodził, wstali wszyscy z wyjątkiem jego. Założył nogę na kolano i beczelnie żuł gumę, kiedy reszta sali na baczność czekała, aż starszy człowiek zajmie miejsce na wielkim fotelu.

Sędzia był tak słaby, że nie miał siły podnieść młotka i rozpocząć rozprawy. Mówił cichym i łamiącym się głosem.

- Widzę, że władza dzisiaj w lekkiej niedyspozycji – zmaćł jego pomruki prokurator, dopiero teraz zrywając się ze swojego miejsca. – Pozwól, starcze, że cię wyręczę – pstryknął palcami i przemówił dalej. – Dziś sądzimy tego oto mordercę – powiedział, celując we mnie palcem – za okrutne zbrodnie, których się dopuścił. Nie będę wchodził w szczegóły, gdyż patolog nie potrafił określić przyczyn zgonu żadnej z ofiar.

Po sali przebiegł odgłos niezadowolenia.

- Tak, wiem – odparł prokurator, uspokajając zebranych – sam byłem wściekły, ale fakty mówią same za siebie. Żaden z lekarzy sądowych nie potrafił podołać temu zadaniu, chociaż każdy z nich pracował w pocie czoła. Ale mam coś na otarcie łez – oznajmił bardziej jak pastor w kościele niż przedstawiciel organów ścigania. – Ofiary przyjdą tu do nas i pożegnają się po raz ostatni. Co wy na to?

Publiczność, ława przysięgłych, nawet sędziowie posiłkowi podnieśli głośnie owacje. Staruszek nadal męczył się z wzięciem młotka do ręki. W burzy oklasków otwarte drzwi głośno trzasnęły o ściany. Do środka weszli wszyscy, których uśmierciłem. Nic z tego nie rozumiałem. W takim stanie i takich stadiach rozkładu nie mieli prawa żyć, a tym bardziej się poruszać. Podchodzili niezdarnie i ledwo utrzymując równowagę, ale to nie tłumaczyło nagłego zmartwychwstania. Spojrzałem w ich kierunku i serce podskoczyło mi do gardła.

Patrzyłem na moich sobowtórów. Różnili się drobnymi szczegółami, lecz ja byłem pewien: widziałem różne wersje samego siebie. Podeszli pod wysokie biurko sędziego i stanęli przodem do publiczności.

- Przedstawcie się! – zachęcił prokurator.

- Nemo – odezwał się pierwszy – przyjaciel. Chciałem tylko znaleźć bratnią duszę i odrobinę towarzystwa.

- Nemo – powiedział drugi – ojciec i mąż. Marzyłem o własnym domu, kochającej kobiecie i dwójce ruchliwych urwisów.

Z każdym kolejnym odbiciem bladłem coraz bardziej.

- Nemo, optymista. Jedyne, czego oczekiwałem to lepsze jutro.

- Nemo, pisarz. Chciałem tworzyć i zostać zauważonym.

- Nemo, człowiek – odparł ostatni i zwiesił głos. – Chciałem żyć.

Zamknąłem oczy i gdy je otworzyłem, znów miałem przed sobą zwłoki, takie, jakie zobaczyłem ostatniego dnia w moim domu, martwe i nieruchome. Diabeł w garniturze zarechotał i po chwili publika poszła jego śladem. Atmosfera zrobiła się przytłaczająca.

- Panie Nemo – powiedział głośno czarnooki showman, świdrując mnie czarnym wzrokiem – umarłeś jako przyjaciel, ojciec, mąż, optymista, pisarz. Jako człowiek – skończył, po czym wyrwał starcowi młotek i uderzył w okrągłą deskę. Drewniane przedmioty rozsypały się na kawałki, a niedołężny mężczyzna zapłakał.

Często wracam myślami do tego procesu, siedząc w domowym fotelu i patrząc beczelnie w czarne okna. Z małego pokoju dochodzą jakieś głosy, to wszystkie wersje mnie wróciły i zamieszkały razem ze mną. Żeby mnie ukarać, w końcu tak brzmiał wyrok. Słyszę ich nieustannie, jak toczą wesołe rozmowy, snują plany ja przyszłość, piszą nowe historie; jak są sobą, wolni od jakichkolwiek ograniczeń. Ja tym-

czasem siedzę w fotelu, masywne kajdany oplatają moje nogi i ręce. Chciałbym czasem iść do nich i spróbować ich egzystencji; poznać nowe twarze, odnowić stare znajomość, napisać coś, zagrać, po prostu żyć. Ale nie mogę. Bo jestem tym, kim się stałem.
Jestem Nemo, jestem Nikt.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ipsylon, dodano 08.10.2013 19:36

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.